

**Pat Cadigan**

## ***Alita: Battle Angel. Miasto Żłomu***

**OFICJALNY PREQUEL**

**Przekład Michał Józwiak / Polska edycja: Insignis Media, Kraków 2018**

Alita: Battle Angel TM & © 2018 Twentieth Century Fox Film Corporation. All rights reserved.

---

## PROLOG

---

**J**ak ujął pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku generał William Tecumseh Sherman, „wojna to piekło”. Na przestrzeni setek lat, które minęły od chwili, kiedy armia Sheridana spaliła do gołej ziemi Atlantę w stanie Georgia, wiele osób głośno i wyraźnie się z nim zgodziło.

Wszystkim jednak umknęło, że wojna ma charakter tymczasowy. Bywają wojny krótkie i długie, które są nie do zniesienia, ale wszystkie bez wyjątku dobiegają końca.

Nie można tego powiedzieć o piekle.

Piekło nie ma końca. Nie jest tymczasowe. Trwa wiecznie, a zasiedlają je zagubione dusze uwięzione w przemijającym szaleństwie wojny, rzucone na pastwę losu po podpisaniu pokoju.

Czas ma w zwyczajnym mijać, a wraz z jego upływem w pamięci społeczeństwa zacierają się wspomnienia. Wydarzenia przeistaczają się w wypaczone legendy, zmutowany rezultat wielu pokoleń gry w głuchy telefon. Winston Churchill zwrócił uwagę, że historię piszą zwycięzcy. Brak nam jednak narzędzi pozwalających na bieżąco i rzetelnie dokumentować zdarzenia, a to sprawia, że grzebiemy historię wraz z ludźmi, którzy ją stworzyli. Zastępujemy ją anegdotami, jakie zrzędzeniem losu utkwiły nam w głowie. A ludzie każdego dnia walczący o przetrwanie nie pamiętają wiele. Tylko ci o pełnych brzuchach i silnym poczuciu bezpieczeństwa pozwalają sobie na luksus spoglądania w przeszłość. Ci, którym los nie pobłogosławił, widzą w historii wyłącznie to, do czego doszło, zanim przybyli.

W ten sposób dobiegła końca historia człowieka na Ziemi.

Większość zawsze zakładała, że koniec ludzkiej historii zbiegnie się z końcem czasu, z wyczerpaniem, wybuchem czy może zgaśnięciem wszechświata, ewentualnie z objawieniem się bóstwa, które dokona sądu nad naszym gatunkiem. Do wybuchu jednak nie doszło. Zamiast niego po świecie rozszedł się jęk tak cichy, że nikt go nie usłyszał. Historia dobiegła końca z bardzo prostego powodu: po Wojnie przestaliśmy ją pisać.

Przed Wojną istniało wiele kultur, które dzięki wymianie naukowej i technologicznej dokonywały rzeczy niesamowitych. Najbardziej imponującym spośród osiągnięć były podniebne miasta, dwanaście lśniących metropolii unoszących się nad różnymi punktami świata. Ludzie widzieli w nich dowód, że nasz gatunek wspiał się na wyżyny ewolucji, może nawet doznał oświecenia. Po raz pierwszy w dziejach człowieka mieliśmy latające ośrodki miejskie. Ich mieszkańcy cieszyli się wielkimi przywilejami i wygodą, a ci, którym przyszło żyć pod spodem, spoglądali w niebo z poczuciem dumy i nadziei.

Potem zaś wybuchła Wielka Wojna: bezlitosna, brutalna i śmiertelna jak każda inna. Pochłonęła miliardy ofiar, starła z powierzchni świata wszystko, co dobre, i zburzyła metropolie – wszystkie poza jedną – które stanowiły dla wielu ukoronowanie ludzkich starań. Zdziesiątkowana i zrozpaczona ludzkość, skupiona na walce o przetrwanie, nie marnowała czasu na dokumentowanie historii. Liczyły się konkrety: wybuchła wojna; wróg zaatakował, a ludzie bronili się ze wszystkich sił. Część straciła życie, inni dorobek, pozostali wszelką nadzieję. Co jeszcze trzeba było wiedzieć?

Ci, którzy ocaleli na powierzchni, zebrali się w cieniu Zalemu – jedyne miasta wciąż unoszące się w powietrzu. Tam naprędce sklecieli coś na podobieństwo cywilizacji – budynki ze złomu i gruzu oraz społeczność opartą na strzępach dawnych ideałów i porządku. Wytworzyła się hierarchia. Ci, którzy umieli odnaleźć się w nowych warunkach, znaleźli się na szczycie, a pozostali zawzięcie walczyli o najatrakcyjniejsze pozycje na niższych szczeblach drabiny.

Witaj w Piekło.

---

Aby Piekło mogło być prawdziwie przerażające, potrzebuje widowni. Kogoś, kto będzie je obserwował, rozumiejąc, co widzi, i dozna oświecenia albo przynajmniej poczuje, że dobrze się bawi. Ale nie pozostanie biernym obserwatorem – technologia sprzed Wojny wprowadziła interaktywność do wielu form rozrywki. Nie było powodu, by to zmieniać.

Widownia była niewielka. Nic dziwnego – populacja Zalemu nie mogła być liczna, żeby zbyt szybko nie wyczerpać zasobów miasta. Miało to tę dodatkową zaletę, że zapewniało mieszkańcom wysoki standard życia. Miasto zmieniło się po Wojnie, rzecz jasna. Nic nie zostało takie samo. Ale większość zmian posiadała charakter filozoficzny.

Kiedy nastąpił koniec działań wojennych, mieszkańcy Zalemu dostrzegli wartość silnego przywództwa i jasnej hierarchii społecznej. Wszyscy mieli nadzieję, że nie zazną kolejnego konfliktu zbrojnego przez bardzo długi czas, ale na wypadek, gdyby stało się inaczej, ugruntowana silna władza o wyraźnym autorytecie miała sprawić, że obywatele nie zostaną zakładnikami przykrych okoliczności.

W gruncie rzeczy autorytarne przywództwo miało teraz kluczowe znaczenie dla przetrwania ludzkości. Beztrioskie czasy obfitości, kiedy na niebie unosił się tuzin miast prowadzących politykę otwartych drzwi, odeszły do historii. Nie zmieniło się – i nigdy się nie zmieni – całkowite uzależnienie Zalemu od wsparcia z powierzchni Ziemi.

Społeczność naziemna nie miała nic przeciwko – ba, wręcz pragnęła zaspokajać potrzeby ostatniego latającego miasta. Zalem symbolizował szczyt osiągnięć człowieka i dowodził, że pewnego dnia ludzkość być może raz jeszcze wzniesie się na wyżyny możliwości.

Jednak póki co bramy miasta musiały pozostać zamknięte. Aeronautyka stała się dziedziną zapomnianą – zresztą brak możliwości podróżowania pomiędzy Zalem a powierzchnią dobrze służył stabilności obu stron. Rzecz w tym, że wszyscy musieli się zgodzić na taki układ – i

zjednoczyć pod jedną władzą. Najlepszym kandydatem na nadzorcę Zalemu oraz naziemnej społeczności, którą z czasem zaczęto nazywać Miastem Złomu, był ktoś, kto mógł dosłownie patrzeć na wszystkich z góry. Władzę wziął więc w swoje ręce przywódca Zalemu, który powołał kilku wybrańców, by służyli jako jego przedstawiciele na ziemi.

Przywódca ten był bardzo stary, starszy, niż większość ludzi sądziła, i o wiele starszy, niż ktokolwiek sobie wyobrażał. O wiele za stary, by ekscytowała go rzecz tak banalna jak władza nad ziemią i niebiosami. Władza była nudna, kiedy nie czerpało się z niej przyjemności. Długowieczność przywódcy zrobiła z niego mistrza zaspokajania własnych potrzeb, a wiedział, że nadzorowanie obu miast nie da mu satysfakcji. Musiał zrobić coś, by zostać obserwatorem *in situ*, nie rezygnując z wygód zapewnianych przez latające miasto.

W ten to sposób Piekło stało się formą interaktywnej rozrywki, mimo że stopa obserwatora ani razu nie postąpiła na powierzchni.

---

---

Za to historia przestała mieć znaczenie. Ważne było to, co stało się poprzedniego dnia, dwa dni wcześniej albo w poprzednim tygodniu. Dawniejsze dzieje wyparowały. Jasne, odbyła się jakaś Wielka Wojna przeciwko jakiemuś wrogowi, ale co z tego? Nikt nie pamiętał, kto walczył ani dlaczego. To było trzysta lat temu. Po co zawracać sobie tym głowę?

---

---

## ROZDZIAŁ 1

---

---

**D**obrze, Sarito, teraz proszę, żebyś się na chwilę rozluźniła – powiedział szczupły, bladej mężczyzna do pacjentki leżącej na stole. Była kobietą w średnim wieku o okrągłej, serdecznej twarzy otoczonej ciemnoszarymi lokami. Poniżej obojczyka miała... w gruncie rzeczy nic więcej. W każdym razie nic, z czym przyszła na świat. Była jednym z cyborgów po pełnej wymianie, bladej mężczyzna regularnie naprawiał je w swojej klinice. Podjęła decyzję o PW już za młodu – z pewnością jeden z zarządców Fabryki dał jej do zrozumienia, że to najlepszy sposób na szybkie wspięcie się po szczeblach kariery. Tak jakby ktokolwiek zatrudniony w Fabryce miał szansę na lepsze życie.

Mężczyzna trzymał rękę kobiety na podpórce ustawionej prostopadle do jej ciała, jej dłoń spoczywała na tacy. Ciało, na które wymieniła to otrzymane od natury, służyło jej niezawodnie przez wiele lat, ale raczej krócej, niż jej kiedyś obiecywano. Od kilku miesięcy pojawiała się w klinice co najmniej raz w tygodniu, żeby wymienić taką czy inną część. Nie była jedynym

cyborgiem w Mieście Złomu cierpiącym z powodu tandetnego wykonania. Mężczyzna o bladej karnacji pomagał osobom jej pokroju, od kiedy tu trafił.

Na początku klinika stanowiła rodzinny interes. W międzyczasie jednak mężczyzna przestał być i mężem, i ojcem, a przez to coraz trudniej mu było nie przejmować się smutnymi realiami życia w Mieście Złomu. Przykre myśli chodziły mu po głowie nie tylko, kiedy zajmował się pacjentami w klinice, ale i w drugiej pracy, którą wykonywał po nocach.

– Okej. Wygodnie? – spytał. – Dobrze. Teraz proszę, żebyś pomyślała o swojej prawej dłoni.

– Której? – spytała.

Z drugiej strony sali dobiegł głośny śmiech. Mężczyzna właściwie zapomniał o chłopaku, który siedział na jednym z odrestaurowanych foteli dentystycznych. Odwrócił się i pokazał dzieciakowi niecierpliwym gestem dłoni, żeby się uciszył, chociaż sam też mimowolnie zachichotał.

– Sarito, o ile dobrze wiem, masz tylko jedną.

– No niby tak, ale... – Kobieta wykrzywiła usta w grymasie. – Najpierw przyszła mi do głowy moja stara dłoń, z krwi i kości. Nie ta prawdziwa.

– Obie są prawdziwe – wyjaśnił jej mężczyzna, starając się przybrać ton brzmiały jednocześnie pocieszająco i stanowczo. – Pamiętasz, jak ci tłumaczyłem, że we wnętrzu umysłu masz coś na kształt reprodukcji swojego ciała? Zatem z punktu widzenia twojego umysłu twoja dłoń jest twoją, bez względu na inne okoliczności. Prawdę mówiąc, to nawet lepiej, żebyś wyobrażała sobie tę biologiczną. Właśnie o to chodzi, żeby twój mózg myślał, że urodziłaś się z tą, którą teraz masz.

– Ale skoro nerwy są połączone, to nie powinien tak myśleć sam z siebie? – spytała kobieta.

– Potrzebowałbym dłuższej chwili, żeby to wyjaśnić. A nie wydaje mi się, żebyś mogła opuszczać tyle godzin w pracy. W każdym razie czasami, nawet kiedy wszystko powinno działać idealnie, trzeba trochę oszukać umysł, popchnąć go w dobrym kierunku – odpowiedział mężczyzna.

Pomógł jej wstać.

– No i o to właśnie chodzi – powiedział radośnie. – Jak wrażenia?

– Zupełnie naturalnie – odparła, wciąż stukając palcami o tacę. – Żadnej desynchronizacji. – Jej uśmiech nieco przygasł. – Mam nadzieję, że się utrzyma.

– Jeśli znowu będziesz miała kłopoty, po prostu przyjdź. – Blady mężczyzna się zawahał. Chciał jej powiedzieć, że nad czymś pracuje, i jeśli mu się uda, już żaden cyborg nie będzie musiał znosić pogorszenia funkcji motorycznych z powodu opóźnienia pomiędzy starszymi i nowszymi podzespołami. Dla jego pacjentki byłby to powód do radości, zasługiwała na to. Nie wiedział jednak, ile czasu zajmie, zanim chip zacznie dobrze działać. Może jeszcze dwa tygodnie, może miesiąc, a może pół roku – jeśli oczywiście wynalazek nie wybuchnie mu prosto w twarz i nie trzeba będzie zaczynać od nowa.

A ona by czekała. Z początku cierpliwie, potem jednak zaczęłyby się niepokoić, podobnie jak ci, co usłyszeli od niej sensacyjną wieść. Rozniosłoby się, że nie potrafił dokonać natychmiastowego cudu ani wytłumaczyć dlaczego – w każdym razie nie w słowach zrozumiałych dla laików. W praktyce więc wszyscy mieliby kolejny powód do niezadowolenia.

Najokrutniejsze, co mógł zrobić tym ludziom, to zbyt szybko dać im zbyt wiele nadziei. Jeśli chciał być miły, mógł rozdawać lizaki, były prawdziwe, dostępne od zaraz, wszyscy klienci je uwielbiali. Wyjął jeden ze słoja stojącego na biurku i wręczył kobiecie. – Jeśli dopadnie cię nagle potrzeba – powiedział – mogę ci pokazać taką sztuczkę z pudełkiem i lustrem...

– Pokazał mi pan już, nie pamięta pan? – odpowiedziała kobieta-cyborg, chowając lizaka do kieszeni na piersi kostiumu roboczego. – Kiedy ta tutaj... – wyciągnęła lewą rękę i poruszyła palcami – ...się rozpadła, a nowa nie przychodziła i czułam się, jakby ktoś wykręcał mi palce, chociaż nie miałam ani jednego.

– Pomaga też na koordynację – dodał mężczyzna.

– Naprawdę? – spytał dzieciak na fotelu z odchylonym oparciem. – Lustro i pudełko?

Kobieta spojrzała na niego spode łba.

– A tobie co do tego, chłoptasiu? – Nagle odwróciła głowę z powrotem w stronę mężczyzny i zrobiła przeproszającą minę. – Sorry, doktorze.

Błady mężczyzna się roześmiał.

– Oj, Sarito, nic się nie stało.

Wyprowadził ją z gabinetu i poszedł zawołać kolejnego pacjenta. Odkrył jednak, że rząd foteli w korytarzu służącym za poczekalnię był pusty.

Zmarszczył brwi i spróbował sobie przypomnieć, kogo wcześniej widział. Może powinien polecić dzieciakowi, żeby zebrał nazwiska i zapisał je w notatniku. – Zwykle pilnował, żeby czekający nie czuli się lekceważeni.

Chociaż z drugiej strony, pomyślał, słysząc łupnięcie za plecami, może lepiej, że go nie angażował. Dzieciak maksymalnie odchylił oparcie, nie zapinając pasów, i zsunął się głową na podłogę.

– Hugo, ustaw tak, jak było – polecił mężczyzna. – Albo przynajmniej zrób coś, żeby ludzie nie musieli siedzieć głową w dół.

Dzieciak oblał się rumieńcem i doprowadził fotel do ładu, a następnie przeniósł się na krzesło przy biurku. Jego nowe siedzenie należało pierwotnie do byłej partnerki mężczyzny. Czy może, uściślając, byłej małżonki. Doktor włożył w zdobycie krzesła sporo wysiłku – jego eks domagała się dobrego podparcia odcinka lędźwiowego. Kiedy wreszcie je znalazł, usłyszał, że nabytek nie spełnia jej oczekiwań. Zresztą nic jej nie zadowalało. Nic nie równało się z rzeczami, które mieli, zanim trafili do Miasta Złomu.

Hugo zaczął jeździć w tę i z powrotem w poprzek gabinetu. Kółka krzesła terkotały. Błady mężczyzna mógłby dostrzec coś wymownego w tym, że siedemnastolatek wyglądał się na krzesło w gabinecie cyberchirurga w Mieście Złomu, zamiast robić cokolwiek innego. Znał jednak Hugo na tyle dobrze, by wiedzieć, że doskwiera mu coś więcej niż nuda. Chłopak wpadał do niego regularnie, a on bez względu na to, jak wiele miał pracy, nie potrafił się zmusić, żeby go przepędzić. Nie chciał być kolejną ze zbyt licznych osób, które zostawiły małego na pastwę losu.

– Nie nabierze mnie pan – oznajmił nagle Hugo.

– Ale o co chodzi? – spytał mężczyzna odrobinę zaniepokojonym tonem.

– Wiem, skąd pan ma to znamię – powiedział chłopak. Dotknął się w sam środek czoła. – To nie jest blizna po przyszczu ani po ospie, ani po kulce od łożyska, którą można oberwać oglądając motorballa na żywo. Pieprzyk też nie.

– No, gratuluję. – Mężczyzna usiadł przy stole do pracy po drugiej stronie pokoju i ściągnął pokrowiec z cybernetycznej ręki z częściowo rozmontowanym stawem barkowym. – Skoro nie ma więcej pacjentów, zajmę się na razie tym. Chciałbym, żebyś mi za bardzo nie przeszkadzał, bo będę musiał trochę spokojnie pomyśleć.

– A co to? – spytał Hugo?

– Chip poprawiający sprawność.

Dzieciak zachichotał.

– A są chipy, które ją pogarszają?

– W tym mieście? Jest ich o wiele za dużo – odparł lekarz, ustawiając nad stawem kończyny lampę ze szkłem powiększającym.

– Założę się, że w Zalemie miał pan świętego spokoju po pachy – stwierdził Hugo. – Tam na pewno mają dźwiękoszczelne pomieszczenia i całą armię ochroniarzy, co dbają, żeby tacy smarkacze, jak ja panu nie przeszkadzali. Co pana napadło, żeby wyjechać?

Mężczyzna włączył jeden z otaczających go wyświetlaczy i zaczął śledzić wzrokiem odczyty przewijające się po ekranie.

– Widzi pan, to, że pan stamtąd pochodzi, to wiele wyjaśnia – kontynuował Hugo po krótkiej pauzie. – Bo, no wie pan, po Mieście Złomu kręci się sporo inteligentnych ludzi, sam zresztą głupi nie jestem. Trzeba mieć coś pod kopułą, żeby tu przeżyć. Ale nawet najbardziej rozgarnięci tutejsi nie wiedzą tyle co pan. Nie są... – dzieciak zamilkł, szukając odpowiedniego słowa –... wykształceni.

Błady mężczyzna przestał poprawiać ułożenie wiązki bardzo cienkich kabli przebiegającej bezpośrednio pod stawem barkowym i spojrzał na chłopaka spod zmarszczonych brwi. W pewnym sensie jego samoocena była trafna, Hugo nie był głupi. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bardzo jest inteligentny, a to sprawiało, że mógł wpaść na pomysł, który przyjdzie mu przyplacić życiem.

– Tu, w Mieście, mało kto jest wykształcony – wyjaśnił dzieciak. – Jedyne powody, czemu zmuszają ludzi do chodzenia do szkoły, to żeby mogli pracować dla Fabryki, kiedy dorosną. Pszczółki robotnice muszą umieć czytać i pisać, i liczyć bez potknięć powyżej dziesięciu. Muszą...

– Hugo, czy tobie się zdarza zamilknąć? – powiedział mężczyzna i natychmiast tego pożałował, kiedy zobaczył przestraszoną minę dzieciaka. – Przepraszam, nie chciałem... – Zawahał się. – Po prostu co chwila tracę wątek, a to jest naprawdę ważne. Może znacząco poprawić funkcjonowanie cyborgów, zwłaszcza PW-tów.

– Serio? Szkoda, że się pan nie sprowadził, zanim mój ojciec kopnął w kalendarz. Może dzięki panu pofunkcjonowałyby sobie lepiej w Fabryce kolejne dwadzieścia lat. – Dzieciak odepchnął się na krześle i przejechał do stołu. – I co jest takiego super w tym chipie?

– Poprawi integrację pomiędzy częściami z różnych generacji. Zmniejszy liczbę odrzuceń i przyspieszy leczenie. A to oznacza, że będzie można podawać mniej leków. Ma też inne potencjalne zalety. Mniej desynchronizacji, wahań i zakłócania sygnałów nerwowych.

Mężczyzna poczuł, że zapala się do tematu. Tak naprawdę po prostu głośno myślał, ale dużo przyjemniej było myśleć na głos, kiedy w pomieszczeniu znajdował się ktoś jeszcze, nawet dzieciak z ulicy, który pewnie rozumiał nie więcej niż dwa słowa na każde pięć wypowiedzianych.

– Widzisz, czasami w sytuacjach wymagających długotrwałego albo wzmożonego wysiłku cyborg zamierza pewien ruch... Coś drobnego, na przykład skinienie palcami, ale też większego jak wejście po schodach... I nagle nic się nie dzieje. To trwa nie więcej niż sekundę, nawet pół sekundy, ale może być wstrząsające, nawet przerażające, szczególnie jeśli cyborg wykonuje jakies złożone zadanie.

A jeżeli ktoś w takim momencie jest zupełnie pochłonięty swoim zajęciem, może przeżyć naprawdę silny szok. Gdyby udało mi się sprawić, że nic nie będzie rozpraszało uwagi cyborgów, one osiągnęłyby płynność, a ja odszedłbym z tego świata szczęśliwy. – Mężczyzna zmarszczył brwi. – Chociaż nie, żeby szczęśliwie umrzeć, musiałbym jeszcze wyeliminować niepewność i zacinać się, choć problemy to właściwie zwykła desynchronizacja, tylko w dużo drobniejszej

skali. Wykonujesz ruch, nic się nie dzieje, więc powtarzasz go. Co innego echo, czyli taka sytuacja, że jeden zamierzony ruch ciało wykonuje dwa razy albo więcej.

Problem... Tak ogólnie rzecz ujmując... Bierze się z prędkości impulsów w mózgu. Nawet najbardziej zaawansowane cybernetyczne ciała nie nadążają za organicznymi nerwami. Prawie im się udaje, ale nie do końca. Od jakiegoś czasu staram się przyspieszyć działanie cyborgów i nie mam na myśli tylko szybszego poruszania się. Niestety póki co głównie osiągam większe tempo ruchu. – Zamierzał kontynuować, ale postanowił zlitować się nad dzieciakiem, który i tak wykazał się, nie zasypiając.

Hugo przez dłuższą chwilę nic nie mówił. A potem stwierdził:

– Widzi pan, o to mi właśnie chodziło. W całym Mieście nie ma gdzie się czegoś takiego nauczyć.

– Gdybyś chciał, mógłbyś się uczyć ode mnie – powiedział mężczyzna.

– Ta, jasne. Doktor Hugo. Wyobraża pan sobie? Po to pan opuścił Zalem, żeby szkolić dzieciaki z ulicy na lekarzy? Nie łyknę takiej ściemy. I tak nie chce mi się wierzyć, że siedzi pan tutaj i naprawia cyborgi. Dlaczego nie został pan na górze? Przecież tam mógł pan mieć wszystko. Czemu przeniósł się pan w takie okropne miejsce?

Błady mężczyzna już zaczynał się zastanawiać, jak wymigać się od odpowiedzi, kiedy wybawił go dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi kliniki. – Jest i mój następny pacjent – powiedział. – Zrób coś dla mnie i go przyprowadź, dobrze?

– Jasne, doktorze – odparł Hugo. – Ale od razu coś panu powiem. Nie chcę zostać pana sekretarką.

– Są gorsze zajęcia.

Hugo się roześmiał.

– Mam już o wiele lepsze.

---

---

Popołudniem jak zwykle zrobił się większy ruch. Kiedy ostatni pacjent opuszczał gabinet, błady mężczyzna był tak zmęczony, że nie miał siły go odprowadzić. Opadł na odrestaurowany fotel dentystyczny, na którym wcześniej wygłupiał się Hugo, i oparł stopy na podnóżku. Kiedy Hugo spytał, czy ma jeszcze coś zrobić przed wyjściem, mężczyzna odgonił go machnięciem ręki.

– Okej – odparł Hugo. – Do zobaczenia jutro!

*Chyba że zobaczę cię pierwszy, odpowiedział w myślach błady mężczyzna.*

---

---

Doktor Dyson Ido – wykształcony cyberchirurg czuwający nad mieszkańcami Miasta Złomu, dobry Samarytanin i przyjaciel biednych dzieciaków mających niebezpiecznie dużo oleju w głowie – upomniał się w myślach, że naprawdę powinien zatrudnić kogoś do pomocy. Choćby pielęgniarkę. Za dochody z drugiego zawodu, którym się parał, mógłby sobie pozwolić na dobrego pomocnika. Niestety kursu lekarskiego dla Hugo nie dałoby się kupić za żadne pieniądze. Trzeba było mieć olbrzymie szczęście, by zostać wybranym przez Fabrykę do dalszego kształcenia. Większość, jak Hugo, musiała sobie radzić w miejskim tyglu rządzącym się prawami darwinizmu społecznego.

Mimo to Ido wciąż się łudził, że obudzi coś na podobieństwo intelektualizmu w tym biednym dzieciaku, który widział w lekarzu głównie kupca na różne gadzety. I przydatne źródło wiedzy na temat Zalemu, o co maglował go cały czas.

Ido tłumaczył się przed samym sobą w ten sposób, że na tle większości dzieciaków biegających po Mieście Złomu Hugo wyróżniał się wyjątkowym rozsądkiem. Miał paczkę przyjaciół – ekipę, z którą spędzał czas, grał w motorballa i ścigał się na żyrocyclach. Od czasu do czasu zbliżał się z jakąś dziewczyną, ale żadna nie zainteresowała go sobą na dłużej. Myśli Hugo krążyły wokół czegoś innego. Rozmawiał o Zalemie tak często, że Ido czasami zastanawiał się, czy młody nie ma fiksacji. Obsesje nigdy dobrze się nie kończyły.

Gorączka Zalemu dopadała na jakiś czas większość młodych ludzi w Mieście Złomu. Młodzież uwielbiała marzyć, że pokona system i dostanie się do ostatniego i najwspanialszego latającego miasta, jedyne, którego wrogowi nie udało się stracić. Młodość polegała wszak na wierze, że jeśli chciało się czegoś dostatecznie mocno, jeśli było się gotowym zrobić wszystko, to na gruncie całego tego wysiłku, wszelkiej motywacji, mogło wyrosnąć magiczne pnące, po którym można wspiąć się na samą górę, do Zalemu. A tam mieszkańcy świadomi twojej determinacji i siły woli powitają cię jak bohatera.

Większość ludzi prędzej czy później wyrastała z Zalemu – im później, tym z większymi oporami. Ido jednak rozumiał niechęć do rozstania się z marzeniem o latającym mieście. To tak jakby pogodzić się, że nie ma sensu liczyć na nic lepszego niż nudne codzienne życie, jak gdyby odwracać się plecami do Nieba.

Ido nie mógł powstrzymać myśli, że istnienie Miasta Złomu dowodziło tego, jak wielka różnica istniała pomiędzy osobami, które porzucały marzenia, a tymi, którzy budzili się w rzeczywistości zarządzanej przez wszechmocną siłę porzucającą marzenia w ich imieniu.

Co więcej, nie dotyczyło to wyłącznie Miasta. Ten sam proces odbywał się w Zalemie. Większość jego mieszkańców nie miała o niczym zielonego pojęcia. Kiedy posiadało się wszystko, co przychodziło człowiekowi do głowy, nie było potrzeby marzyć.

Chyba że nie było się ideałem.

Jego córka miała być idealna. Rodowód, jak wszyscy mieszkańcy Zalemu, miała bez skazy, a Dyson i Chiren żyli zgodnie z zasadami, nie pozwalając sobie na słabości ani dekadencję.

I taką ją widział – najpiękniejsze stworzenie w ich pięknym latającym świecie. Jej choroby nie można było nazwać skazą. Zalemscy genetycy coś przegapili, nie udało im się tego poprawić. Ido w ogóle to nie obchodziło. Nic nie mogło zmienić tego, jak odbierał swoje dziecko.

Jeśli coś miało skazę, to raczej zalemska koncepcja ideału.

A konkretnie mówiąc, wizja, której hołdował Nova, człowiek u steru latającego miasta. Chromowane gogle zakrywające jego oczy dawały mu ponoć nadludzką zdolność postrzegania, pozwalały widzieć światło o długościach fali wykraczających poza możliwości normalnego wzroku. Ido jednak był zdania, że wzrok Novy musiał być bardzo przeciętny, skoro nie pozwalał mu dostrzec perfekcji córki lekarza.

To Nova eksmitował ich z Zalemu. Przesłał do ich domu chłopców na posyłki, od nich usłyszeli, że muszą opuścić miasto. To była bardzo trudna decyzja – oznajmili przeproszającym tonem, prężąc się w wymuskanych mundurach – ale nie ma innej możliwości, nic nie dało się zrobić. Ido i Chiren stworzyli coś tak wadliwego, że nie nadawało się do normalnego życia. Dziewczyna wymagała cybernetycznych usprawnień, żeby wykonywać czynności, z którymi



zwykle osoby radzili sobie sami. W Zalemie coś takiego było niedopuszczalne. Latające miasto mieli zamieszkiwać ludzie lepszej kategorii. Inaczej nie było różnicy pomiędzy niebem a ziemią i równie dobrze można było wpuścić niedomytą hołotę na górę i pozwolić jej zdeptać wszystko brudnymi buciorami. A tego nikt nie chciał. Ido i Chiren na pewno rozumieli, jakie to ważne, żeby Zalem pozostał takim, jakim miał być. Szczególnie że był jedynym latającym miastem, które się ostało.

Upokorzenie i wściekłość nareszcie uświadomiły Ido, dlaczego na co dzień nie widywał fizycznych defektów, niepełnosprawności ani nietypowych cech charakteru, czemu cała uprzywilejowana populacja Zalemu miała tak zaskakująco zbliżony sposób postrzegania świata. Z chwilą, kiedy to pojął, zaczął się prawie cieszyć na myśl o opuszczeniu miasta. Najpierw jednak zażądał, by Nova pofatygował się osobiście do ich domu i powiedział prosto w twarz wszystko, co kazał im przekazać – jemu, Chiren, ich córce. Żeby zobaczył, że nie są nazwiskami skreślanymi z listy, ale żywymi ludźmi, których skazuje na wygnanie.

Chiren była kompletnie zdruzgotana, ale jej serce nie zamarzło od razu – z początku zachowała dość ludzkich odruchów, by przekonać Ido, że ich córka ucierpi jeszcze bardziej, jeśli zalemski autokrata powie jej w cztery oczy, że nie zasługuje na miejsce w jego mieście. Nova nie zgodził się z nimi spotkać, co w ostatecznym rozrachunku okazało się jedynym, maleńkim przejawem łaski z jego strony.

Sposób, w jaki opuścili miasto, był kolejnym źródłem poniżenia. Loty statkami powietrznymi cięższymi od powietrza były zabronione i karane śmiercią. Wyrok wykonywały naziemne roboty żandarmerii zwane centurionami. Centurionowie istnieli głównie po to, by dbać, żeby ludzie urodzeni na ziemi nie próbowali – dosłownie – wznieść się ponad swoje pochodzenie. Równie niedopuszczalne było jednak, żeby rezydenci Zalemu – także dosłownie – zniżali się do poziomu pospółstwa. Gdyby tak się działo, mieszkańcy ziemi zaczęliby się domagać wizyt na górze, co doprowadziłoby do kompletnego załamania porządku społecznego. Przez ostatnie trzysta lat na świecie panowały stabilizacja i pokój – żadnych wojen, żadnych zamieszek, żadnych problemów. Tylko szalenie ryzykowałby naruszenie *status quo*.

Tunele zaopatrzeniowe łączące naziemne centra wysyłkowe ze stacjami odbiorczymi na Zalemie służyły wyłącznie transportowi towarów. Podróżowały nimi tylko w jedną stronę dostawy pożywienia i produktów naziemnego przemysłu. Jeszcze się nie zdarzyło, by cokolwiek zjechało któryś z nich na ziemię. Zalem nie istniał po to, by dostarczać cokolwiek mieszkającym w jego cieniu.

Wszystko, co wędrowało ku dołowi, odbywało tę podróż przez postrzępiony lej zsypu zwisającego pod dyskiem Zalemu. Dawniej zsypanie było dłuższe, stanowił jednak zbyt wielką pokusę dla śmiałków z Miasta Złomu i musiał zostać skrócony. Tę wersję w każdym razie znała większość ludzi. Z pamięci społeczeństwa ulotniły się pozostałe historie na ten temat. Więcej wiedzieli tylko posiadacze obszernego wykształcenia dostępnego mieszkańcom Zalemu.

Inna sprawa, że nie miało to znaczenia. W ostatecznym rozrachunku liczyło się tylko to, że zsypanie zawsze służyło do depozycji odpadów i stanowił jedyną drogę, którą Ido, Chiren i ich córka mogli trafić na ziemię.

Nova pozwolił im skonstruować kapsułę, dzięki której mieli przeżyć lądowanie bez większego szwanku. Miała nie nadawać się do ponownego użytku i być tylko na tyle duża, aby pomieścić ich trójkę. Otrzymali zakaz zabierania przedmiotów, które mogłyby zdradzić zbyt wiele na temat Zalemu – jak wyglądał, ilu miał mieszkańców, co posiadała ich rodzina. Lepiej, żeby ci na ziemi musieli sobie wyobrazić, o ile przyjemniej żyje się w latającym mieście. Gdyby znali prawdę, z niezadowolenia mogliby zrobić coś mało rozsądnego.

Tak, naprawdę szkoda, że musieli zostawić wózek inwalidzki córki, ale mogli przecież zbudować nowy z materiałów zastanych na miejscu. Miasto Złomu otrzymało nazwę całkiem zasłużenie – było pełne surowców do ponownego wykorzystania. Jego rezydenci nauczyli się bardzo skutecznie znajdować nowe zastosowania dla odpadów z Zalemu.

Ładowanie, w przeciwieństwie do tego, czego kazali im się spodziewać zalemscy biurokraci, było dość brutalne. Ido jednak zadbał o odpowiednią amortyzację, szczególnie dla córki, która dzięki temu uniknęła poważnych urazów.

Na koniec poniżyło ich samo miejsce, gdzie wylądowali. Ido i Chiren byli świadomi, co ich czeka, ale nic nie mogło ich przygotować na widok, który ukazał się ich oczom po otwarciu włazu bezpieczeństwa. Zalem wyrzucił ich ze śmieciami – jak śmieci.

A potem, jakby los chciał ich odrzeć ze wszelkich złudzeń, z góry poleciało na nich jeszcze więcej odpadków. Część wpadła do środka przez otwarty właz. Chiren wpatrzyła się z obrzydzoną miną w kawałki plastiku, drutu i pogiętego metalu, strzępy tkanin i wnętrza złomowanych urządzeń. W następnej sekundzie wyrwała się z profilowanego fotela, wzięła córkę w ramiona i wygramoliła się na zewnątrz, przeżywając atak paniki.

Ido podążył za nią. Zamierzał ją ostrzec, żeby poczekała – gdyby coś jeszcze na nich spadło, mogłoby ich zabić. Jednak przedzierając się przez odrealniony, zdradziecki krajobraz uformowany ze złomu i odpadków całych pokoleń, wypatrzył niewielką miskę, porysowaną, ale całą. Odruchowo ją poniósł – pierwszy element wyposażenia ich nowego domu. Nagle jednak zdał sobie sprawę, dlaczego Chiren tak zareagowała. Przeraziła ją myśl, że zobaczy coś, co rozpozna. Ido rzucił naczynie z powrotem na ziemię.

Córka była stosunkowo młoda, więc Ido miał nadzieję, że bez większego trudu dostosuje się do nowego życia. Nie ulegało wątpliwości, że ich warunki się pogorszyły. Jednak dzieci, nawet niepełnosprawne, zawsze były po prostu dziećmi – nie wiedziały, czy są bogate, czy biedne. Od czasu do czasu młoda pytała, dlaczego nie mieli czegoś, co pamiętała z Zalemu, po czym radośnie i bez narzekania przyjmowała do wiadomości odpowiedź Ido, że w Mieście Złomu po prostu nie było pewnych przedmiotów. Cieszył się tym, jak reagowała, bo Chiren narzekała za całą trójkę.

Ido robił, co mógł, by ze względu na córkę nie tracić dobrego nastroju. Wmawiał sobie, że choroba nie postępuje na jego oczach. Dopiero kiedy Chiren rzuciła w niego miękkim, prawie pleśniejącym pomidorem, zdał sobie sprawę, jak nisko upadli. Najlepsze jedzenie wędrowało do Zalemu, a tu jadło się tylko to, co nie sprostało standardom latającego miasta.

Od pacjentów kliniki dowiedzieli się o istnieniu czarnego rynku. Ido zszokowało, jak szybko zaczęli z niego korzystać równie naturalnie, co z normalnego rynku oferującego jedzenie. Mimo to prawdopodobnie musieliby zamknąć klinikę i znaleźć wolne miejsce pod autostradą, gdyby nie odkryli motorballa. Czy może to motorball odkrył ich, kiedy po mieście rozeszła się wieść, że pojawiła się para cyberchirurgów, którzy dokonywali cudów za pomocą odrobiny taśmy izolacyjnej, miedzianego drutu i śliny?

Była to dobrze płatna praca. Może nie aż tak, by przywrócić standard życia choćby trochę zbliżony do dawnego, ale niczego im nie brakowało. Ido zaczął pracować nad przedsięwzięciem mogącym odmienić życie córki.

Jego małej A...

Ido miał jej imię na ustach, kiedy otworzył oczy. We wnętrzu kliniki panowały ciemność i cisza. Zasnął na fotelu. Powinien wstać, zjeść coś i wyjść. Potrzebował pieniędzy, których mogło dostarczyć wyłącznie jego nocne zajęcie.

Ale ktoś tłukł w drzwi wejściowe i raz za razem wciskał dzwonek. To ten dźwięk go obudził, zdał sobie sprawę Ido. Ktoś miał pilną sprawę i nie zamierzał dać za wygraną. Ido zwał się z fotela, przeciągnął i potykając się o własne nogi, podszedł do drzwi.

To był pilny przypadek, owszem, ale innego rodzaju niż te zajmujące go na co dzień.

– Jezu, Hugo, co ci się stało? – spytał, pomagając chłopakowi usiąść na wózku inwalidzkim, stojącym przy wejściu. Hugo wydał dźwięk, który z tą samą dozą prawdopodobieństwa mógł znaczyć: „proszę nie pytać”, co: „dostałem wpierdol”. Ido nie drażył tematu.